

ZYGMENT KRASIŃSKI

KILKA SŁÓW O JULIUSZU SŁOWACKIM¹

Krytyka jest siłą o dwóch kierunkach. Jeden nazwałbym dodatnim, drugi – ujemnym. Pierwszy albowiem uznaje i podziwia, czyli twierdzi piękność, drugi przeczy ją, czyli brak jej wytyka i wykazuje, czemu to, co szpetne, niedomaga i w chorowitości swojej, choć stara się o piękność, właśnie jest niedopięciem jej, a tym samym jakoby niedorównoważeniem chęci i skutku, niestożsamieniem pomysłu i urzeczywisczenia. Niedotężną na wieki pozostać musi każda krytyka wyłącznie tylko ujemna, zapatrzona ciągle w brak piękności, tak jak ślepy człowiek w brak światła – bo wytyka tylko próżnie niezapełnione życiem, a od życia twarz odchyła, jakby jej właściwym celem było budować gmach powtórny z wszystkich rozsypanych ułomności, wad, błędów i brzydot po świecie, kiedy, owszem, jej świętym powołaniem przykładać się do wzrostu i uzupełnienia tego drugiego podpowietrznego gmachu, który unosi się ponad światem, a jednak z świata jest i świata się trzyma jak kwiat wierzchni dolnej łodygi, jak malowne chmury widnokręgu planety, jak stan boski ducha stanu podrzędnego duszy ludzkiej. Tego gmachu, mówię, coraz rozleglejszego i wyższego, rosnącego w nieskończoność, a w którego kształty widome sztuka wciela od wieków i na wieki niewidomą ideję piękności.

Coś pięknego ujrzyć, ocenić i uznać jest jedną z najwyższych ducha rozkoszy, lecz takowej zabraniają sobie zwykle krytycy. Zajadłe, pogańskie serce wre im w piersiach, miłością chrześcian nie przepoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten wyłączny kierunek nie za część, za środek, ale za całość, za cel uważają; gnani tej pomyłki wiatrem, gdy wysuną się z portu, gdy rozpuszczą żagle, płyną wprawdzie, ale po wielkiej nicości.

¹ Tekst przedrukujemy dzięki uprzejmości Profesora Mirosława Strzyżewskiego, Redaktora najnowszego wydania *Dzieł zebranych* Zygmunta Krasińskiego, któremu w tym miejscu pragniemy złożyć serdeczne podziękowania. Zob. Z. Krasiński, *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*, w: *Dzieła zebrane. Nowe wydanie*, red. M. Strzyżewski, t. 7, *Pisma dyskursywne*, vol. 1, oprac. ed. B. Kuczkowski, tłum. R. Jarzębowska-Sadkowska, J. Pietrzak-Thébault, Toruń 2017, s. 177–200.

Otóż w niniejszej rozprawce postanowiliśmy na przekór im, a na pociechę nam samym, trzymać się dodatniego kierunku – postaramy się, mówiąc o wielkim duchu poetyckim, któremu na imię Juliusz Słowacki, raczej wytknąć, w czym zasłużył się piękności, niż w czym przeciwko niej zgrzeszył. Nie masz albowiem na tej ziemi znikomych ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnej niedoskonałości, już stanowiącej, że tak powiem, koniecznością swoją, tragiczność wewnętrzną samego dzieła. Ta tragiczność wewnętrzna dla artysty, gdy zanadto na jaw wysunięta, staje się komicznością dla widzów. Lecz my daleko tu stoim od wszelkiej takiego rodzaju śmieszności, owszem, zdaje się nam, że w dziełach Słowackiego, mimo wszelkie ujemne przeciwko nim wysypane krytyki, jest taka wiara prawdy i piękności, że przez tę [wiarę] ich wady zbawionymi i odkupionymi są – a gdzie zbawienie i odkupienie, tam i życia zwycięstwo!

Lecz oddzielnie pojąć i ocenić Słowackiego nie sposób – nie tylko Słowackiego, ale nic na świecie – bo wszystko zasuwają się na siebie, bo każdy szczegół, choćby wyglądał na całość, jest płynącą częścią wyższej całości. Słowackiego rozumieć można tylko w logicznym następstwie po Mickiewiczu, tym ogromnym *fiat lux* literatury polskiej, zatem zaczniemy *ab origine rerum*.

Przed Mickiewiczem – daj Boże, byśmy tą książką popełnili pomyłkę – przed Mickiewiczem, o ile nam widno i wiadomo, nie było poezji w Polsce. Leżały tylko nagromadzone materiały, w takim się do niej mające stosunku, w jakim chroniki, biografie i pamiętniki mają się do prawdziwej historii. Polska, póki jej sił stało, hasała na zewnętrznym polu życia. Czy w domu gospodarząc i biesiadując, czy na sejmach radząc i deklamując, czy na pobożowiskach walcząc i zwyciężając, w czynie nagłym, dorażonym, widomym zawsze się kochała. Dopiero na ścieżce do grobu poezja się przed nią jak kwiat wykluwać zaczęła, na samym grobie zaś z pączka przemieniła się w stulistną a czarną różę, dziwą i ponurą wśród róż wszystkich. W tym kwiecie śmierci i życia zarazem barwa posępna świadczy, że z [prochów] wyrósł, że na gruzach rośnie, a coraz bujniejszy wzrost objawia, że żałoba nie jest nicością, że ból nie jest ostatecznym końcem i że z bólu zmartwychwstaje duch.

Czyn, którym duch nasz się objawił po rozebraniu się z ciała politycznego, zowie się Mickiewiczem. On pierwszy z ODMĘTU ROZBUJAŁYCH FLUKTÓW, mówiąc Krasickiego mową, odgarnął polską ideę piękności i w kształt organiczny ją oblekł. Potrzeba mu było na to tego, co jest treścią i zasadą w każdym tworzeniu, potrzeba mu było olbrzymiej, wewnętrznej, rodzimej siły, czyli energii. Siłą tylko skupiań, siłą dośrodkową, można niewidome zamienić na widome – to, co jest, ale bez ciała, zmusić do obleczenia się w ciało, a tym samym do objawienia się. Stąd w średnich wiekach wyobrażenie o nadziemskiej potędze czarnoksiężników, tych praktycznych poetów, których zaklęcie kuło duchy niewidzialne w kajdany kształtów widomych. Otóż podobnie zaklął Mickiewicz polskiego ducha

poezji i jak tytan skupił go objęciem ramion, ścisnął go w żelazny pierścień natchnienia, a duch stał się dotykana pięknością. Wszystko, co wprzód rozlane lub rozbite pływało niesfornie lub opadało prochem, zeszło się w kształt sforny i rozumny. Stał grunt poezji naszej, opoka wewnętrzna tego intelektualnego planety wychyliła się na jaw. Czym Alp ogromny, czym piramidy pustyni, czym wszystko, co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem nieporuszone i wieczne, tym Mickiewicza dzieła. W nich nade wszystko przemaga siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń – wola i czucie, i wiara; one są granitowym jądrem naszej literatury.

Lecz świat nie na jednej tylko sile stoi, nie jednym tylko wcieleniem się żyje. Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden. Czymże byłby planeta, gdyby drugiej siły przeciwnej, siły odśrodkowej, nie miał także w sobie? Jako pierwsza z łona niewidzialności go wywiodła, przybiła do przestrzeni, wkuła w byt, uczyniła wielką i poważną rzeczywistością, groźną, podniosłą, arystokratycznie, że tak wyrażę, zjednostkowaną i różną od wszystkich innych, tak owa druga mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma, rozdziela to, co płynne i lotne w nim, od tego, co zsiadłe i twarde, przemienia go po połowie w atmosferę rozszerzalną, górną, niebieską i na jej wysokościach coraz go lotniej grą światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera, wołając wśród grzmotów: „Wszystko tym samym, wszystko równym sobie, wszystko ku temu samemu, przemijając, dąży!”. A gdy tak, grząc, woła, z republikańską ironią pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: *moriturus*.

W każdej żywej, wielkiej całości te dwa kierunki razem istnieć muszą – ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem. Mogą wprawdzie w danym czasie na danym miejscu przybrać pozór walki – ale to zawsze doczesnym, nie wiecznym, cząstkowym, nie powszechnym zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką, pojednaniem, nie rozdziałem, dobrem i prawdą, nie złem i fałszem; i to, co walczy z sobą na tym padole, tam ponad wszystkimi padoły, w górze, ale nie w przestrzeni, jedno w górze pojęcia, w niebie ducha – wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny.

Zdaje się nam, jakobyśmy czuli, gdy czytamy dzieła Słowackiego, że w nich się objawiła ta druga konieczna, odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się jak muzyka ciągłym drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawdę, w kierunku tej siły coś panteistycznego przebija – ona by chciała, gdyby przemóc mogła i jedyną stać się panią świata, wszystko we wszystkim stopić i porównać. Sama by się rozwiła własnymi skrzydłami – utonęłaby i zaginęła w tym, ku czemu dąży, wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu jak w otchłani.

To, co ona ukochała, nigdy przy niej, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżej i błędniej, i dalej ciągnie ją za sobą. Każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do pryśnięcia przymusić – i jej samej ostateczną formą jest jej treść własna, jest to, co stanowi formę oceanu, to, co rozprężliwość światła, to, co falistość elektryczności: żądza wieczna, ruch nieskończony.

Czym więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czym tęczy koło wodospadów umizgi, czym chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść i znieznacznąć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czym błysk łusk zakalających się na piersiach węża, czym przewrotność barw na tle opalowej białości, czym szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czym gwary mnóstw wszelkich, nierozpoznalne, a wsiąkające w duszę, jakby prosto szły z wieczności; czym owe melodie śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej, coraz szerzej, jakby życie z piersi ludzkich uwolnione już wniebowstępowało; słowem, czym to wszystko, co już prawie zewnętrznego kształtu się pozbyło, lecz natomiast samą iścizną natury swojej prawie dotkliwie wyraziło – tym się nam marzy, że jest poezja Słowackiego w literaturze naszej. Każda jej cząsteczka misternej, filigranowej roboty jak drobny kwiateczek. Jej ogół zaś przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, jakom już wyżej dotknął, ma za formę ciągłe pojedynczych części stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie – i utrzymuje się następstwem tych znoszeń, raczej ruchem niż postacią, tak jak muzyka. Stąd ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty, na wskroś idealny. Stąd podobieństwo do tego, co Niemcy, przejąwszy od Anglików, przewali humorem, czyli rodzajem, w którym mistrz stawia się na stanowisku panteistycznego Boga i ciągle stworzenia własne, jakby sny znikome, budując i rozwalając, zarówno podług widzimisię swego, te ich wschody i zachody tragicznie lub komicznie, serio lub *buffo* uważać może.

Któż na przykład, czytając *Szwajcarię* i *Anhellego*, nie dozna mistycznej tęsknoty? Komuż te dwa arcydzieła wewnętrznej melodii ducha nie zostawią po sobie jakby uczucia, że wszystko przemineło, że co światłem było, już nie jaśnieje, co różą, już się nie czerwieni, co łąą, już nie płynie, co chwałą, już nie połyska, ale tylko na ziemi, na tych murawach zwiędnięcia; bo owszem, znać, czuć, objawionym to głębiom ducha jest, że te wszystkie groby i kwiaty, i lutnie, i szable popłynęły wyżej – ot! tam gdzieś uleciały, roztopiły się, wsiąkły tam, dokąd ostatecznie każdej harfy rwą się dźwięki i [d]okąd śnią każdej trumny marzenia.

Balladyna innego gatunku jest utworem – w niej poeta chciał wskrzesić pierwszą zorzę tego życia, którego koniec opisał w *Anhellim*. Łatwiej śmiertelnemu o śmierci niż o rodzeniu się śpiewać. Śmierć przynależy się z prawa człowiekowi, tak jak życie Bogu – przecież i Dantowi bardziej doma było w piekle niż w niebieskich podniosłościach! Mimo tę trudność, już w samym pojęciu rzeczy zastrzegłą, wydaje się nam, o ile nam czucia i myśli starczy, że *Balladyna*

odziana szatą niepowszedniej piękności – nowy to zupełnie utwór na widnokresie polskim. Każda nowość razi, obraża nawet, zanim da się rozpoznać. Żadna nie odjęła się temu losowi na świecie. Dotąd też *Balladynę* ujemne tylko obarczały krytyki.

W tym bogi uśmiechnęły się łaskawie greckim plemionom, a później germańskim, że im dały epopeę w czas. Co się w czas zdarza, bywa zawsze wielkim i prawdziwym, co przed czasem, nosi zwykle znamię szału, a co po czasie, niestety, komiczności. Niepodobna odwlec rzecz o tysiąc lat i żądać po niej, by w zupełnie rodzimych barwach, w pierwotnej świeży, w nietkniętym dziewictwie na jaw wystąpiła. Nie winą Słowackiego, że nie żył za dni Popiela, raczej winą czasów Popielowych, że miasto szczurów i myszy nie porodziły wielkiego gęślarza, wieszczą, który by, wiążąc sławiańskie plemiona jak struny w olbrzymią harfę epopei, był uwiecznił kolebkę naszą, tak jak Homer Grecji kolebkę, tak jak Nibelungów śpiew Germanii początek, tak jak *Divina Comedia* katolicyzmu wiarę. Dziwny, bardzo dziwny los dostał się nam w dziele, umarli dopierośmy ściągnęli rękę do harfy! Wprzód miecz nam był jedyną harfą, aż dziś harfa stała się mieczem jedynym. O to skarżmy na nas samych lub na bogi, ale nie na poetę, bo on się urodził w innych czasach, on, gdy śpiewa o Popiele, choć staje się Popielem, nie może być li tylko Popielem.

Do Popiela dodajcie dziesięć wieków cywilizacji zachodniej. Z tej sumy dopiero powstanie barwa Popielowa, można w duchu Słowackiego – a kiedy wśród tej łuny światła zupełnie różnego, wstawszy z grobu nad Gopłem, przechadza się Popiel, niepodobna, by kolor jego właściwy nie gryzł się i nie ujadł z barwą otaczającej atmosfery, z duszą oblewającą go poety. Ta sprzeczność wyradza się w ironię, bo poeta sam wskrzesza zpomnianego, a gdy go wskrzesi, czuje, że ma nad nim władzę życia i śmierci bez końca, że go może sto razy z mogiły wywołać i nazad sto razy do mogiły zamknąć. Tak z Achillesem, tak z Sygfydem niepodobna sobie wszechwładnie postąpić, bo Homer, bo duch skandynawskiej *Eddy* stoją tam nad nimi w przeszłości i świadczą im, i strzegą ich na wieki. O nich dziecię każde wie, że na półbogów wyrosli, a o transfiguracji Popiela kto słyszał?

Więc obejście się Słowackiego z majestatem nadgoplańskim nie tylko pochodzi z dążeń samego mistrza, ale głębiej jeszcze zapuszcza korzenie w nieodbitą konieczność, która przymusza poetę do igraszkowania z tym, co przeszło, a przechodząc, nie zostawiło posagu po sobie.

Humor, czyli ciągła mieszanina tragiczności i komiczności, wystąpić tu musi jako siła tworząca. Wszystkie wady i błędy zawarte w nierozpoznalnej jeszcze i nierozwiniętej postaci Popiela przed dziesięcią wieki, a ciągiem tych wieków rozwinięte i dziś przeświadczony o sobie samych, zamienią się w diabliki, w [gno-my], wcielią się w groteski przychodzące pląsać koło tegoż Popiela. Co z niego

się wymknęło – bo się wymknęło i temu nie poradzim – musi zewnętrznie stać przy jego boku w widomej formie, tak jak w historii następnie uwidamiało się, ale nie w poetyckiej, jedno w ludzkiej, rzeczywistej, [intuicji] i wypadków. Wyjdzie zatem na tę scenę pośmiertną i już przegraną król Popiel zarazem, tak jak był wtedy i jakim się sam widział, i taki, jakim się stał później i jakim go wie poeta. Co tu mówim o Popielu, rozumie się oczywiście o całej treści tych czasów pierwiastkowych, których nikt nie schwytał i nie uwiecznił pod ściśle odrąbaną formą, kiedy przelatywały, a z których wiemy jednak, żeśmy wyszli, my i wszystko nasze, i to, co nam życiem, i to, co nam śmiercią; i to, co nam chlubą, i to, co nam kałem; i to, co wielkością, i to, co nam próżnym blichtrzem jest.

W *Balladynie* dwa światy – pierwotny sławiański i dzisiejszy krytyczny, który nosi na sobie napis *consummatum est* – płaczą się i spajają nieustannie. Ta przemiana kameleonowska, ta zdrada migów i przemigów, ta rozpryskliwość baniek tęczanych, słowem, cały *Balladyny* koloryt, już sam w sobie stanowi formę wiążącą tych światów różnice, a te różnice zetknęły się z sobą rzeczywiście, ale nie w zewnętrznej rzeczywistości dziejów, tylko w wewnętrznej – sumienia samego poety. Gdzie ciągle dwie sprzeczne siły działają, tam nie kształt epopeiczny, posągowy, ale dramatyczny, ruchomy powstanie. Dlatego też *Balladyna* jest dramatem, ale takim, w którym nie tak osoby z sobą walczą, jak raczej dwie epoki, z których dawniejsza ciągle pragnie się objawić majestatycznie, a późniejsza zrywa jej koronę z czoła i sądzi ją sądem potomnych – tak jak niegdyś mumie królów egipskich sądzili kapłani egipscy.

Typy jej wszystkie są szczerze polskie. Któż nie uczuje, że wieczny szlachcic przemówił ustami znikomego Kirkora w tym wierszu:

Czemu nie było mnie tam na Golgotcie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą!
Zbawiłbym Zbawcę...

Kto, patrząc na samą *Balladyne*, nie przypomni sobie, jakby echem wiekowym, słów Żółkiewskiego o nieszczęśliwej Marynie: „Nade wszystko chce się babie carować”. Któż w Grabcu nie pozna karczmy polskiej, żywej, chodzącej po świecie pod ludzką postacią? Starożytni podobnie ogólne pojęcia lub szereg dziejowy zdarzeń wcielali w postaci osobne, ludzkie. Mitologia wysnuła się z ogólnej władzy takiego wcielenia wspólnej całkiem ludom. MITY wtedy rosły jak ogromne drzewa i skały pierwotnego świata, jak organizma, które sama natura wyprowadza olbrzymio i poważnie z siebie. Dziś inaczej – dziś pojedynczy człowiek, dziś sam poeta musi MIT cały ukształcić, a kształć go, wie o nim. Zbywać więc tej krystalizacji zawsze będzie na tej rodzimej harmonii, na tej świętej, choć ślepej wierze w siebie samą, na tej powadze i niewzruszoności starożytnych form, które o sobie nie wiedząc, nie mogły i o sobie wątpić. Znów

tu pierwiastek uśmiechu, jak sam Słowacki się wyraża, Ariostowskiego, wydobywa się na jaw, i *Balladyna* tym wyrazem przepojona wiąże się z ciągłych wibracji jakoby długi łańcuch woni i iskier, i dźwięków przesuwający się na wzór Goplany uwiązanej u taśmy z żurawi, a topniejący w przestworach niebieskich. Ale co w *Balladynie* wygląda nam na głęboką genialność, na wewnętrzną energię sztuki, to jej wysnucie i wyprowadzenie z kilku wierszy pieśni gminnej. Jak najbujniejszy kwiat z marnego nasienia, tak ona z jednej zwrotki wykluwa się, plemi, wstuliścia się i płonie, aż znów ją ogień niebieski pożre, aż wyszła z NICZEGO, z niewidzialności, wróci w niewidzialność. Niechaj tu nikt, gdy mówim: z NICZEGO, nie posądza nas o myśl, czyli raczej NIEMYŚL nicestwa. Nicestwo jest grubym, niepojętliwym fałszem – ale TO NIC, skąd wszystko wyrasta i do którego wszystko wraca, stanowi tajemnicę nieskończoności. Jest to właśnie TO, CO JEST, a samo z siebie JEST, nie zaś z żadnej cudzej folgi lub zewnętrznego powodu.

W *Lilli Wenedzie* chciał nam stworzyć poeta Antygonę sławiańską – i zaprawdę, ta córka królewska, z wiankiem białych kwiatów na skroni, wygląda niewinnie a posępno. O Lillo Wenedo, poskarż się temu, który cię w życie i piękność przyodział, że cię przymusił stąpać po ścieżkach, którymi chadzał biskup Gwalbert. Biskup naszym zdaniem podobny do mnicha dzisiejszego, ale żadnym prawem do owych olbrzymów ducha, co w pierwszych wiekach Kościoła tak samo po borach Germanii i Sławiańszczyzny rwali się za pasy z wiarami dzikich plemion, jak dawniej niegdyś olbrzymy ciała z potworami natury. Lecz skądinąd, o biała dziewczyno, podziękuj mistrzowi za braci – patrz! Lillo, wszystkie harfy rodu twojego ogłuchły, wszystkie trumny wasze darń lasów pokryła. Dwa imiona tylko doszły nam uszu: Lelum, Polelum. Oto jedyny dźwięk pozostały z jęków tyłu; żebyś ty wiedziała, Lillo, co z tą jedyną pamiątką po was wyrabiali uczeni, kronikarze, historycy, pedanci, poeci – struchlałybyś, drugi raz byś się rozpłakała za całym ludem twoim. Darmo bym ci opowiadał wszystkie ich domysły, twierdzenia, hipotezy. KASTOR I POLLUX. Powiedz, Lillo! prawda? nie rozumiesz? wiedziałem, wiedziałem, o biedna i prześliczna, że te imiona nie obudzą w twoim sercu żadnego wspomnienia! Lecz kiedy wstaniesz z grobu w noc miesięczną, kiedy staniesz na leśnym rozłogu cała przejrzysta księżycem, o ty! nieskończona liczba konwalii w jedną przesnutych dziewczynę – i kiedy spojrzysz mi ciekawie w oczy, a ja ci powiem, że z Lela i Polela wydobył mistrz dwóch starożytnych bohaterów, powiązał ich łańcuchem, kazał im się bić razem, a nie razem umierać. Gdy pierwszy poległ, rzucił jego ciało w objęcia brata, i tak obarczony drugim sobą poszedł brat żyjący ku stosowi, na którym wasze wszystko, wasz świat i wiara wasza, w dym się obróciły. Wtedy ty się rozrzewnisz w prawdzie pamiątek i krzykniesz nagle: „Tak było, to brat mój!”, i odchodząc nazad do grobu, dodasz: „Niechaj zatem przestanie wyrzekać na mistrza dusza moja, że ją z tym starym Gwalbertem poplątał”.

Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonalej wcielony, najściślej obrąbiony jest *Ojciec zadżumionych*, choć mu tylko granicą obszar pustyni, a formą ciągłą także śmierć. Jeśliś widział rysy Laokona, czytając to poema, przypomnij sobie. Jeśli ci kiedy włosy wstały przed Ugolinem pożerającym czaszkę arcybiskupa w piekle, tu po drugi raz rość ci i drzyć zaczną na głowie, a jednak ani u rzeźbiarza greckiego, ani u toskańskiego Gibellina w niczym nie zapożyczył się polski poeta. Oni ból ponad wszystkie bóle wydali plastycznie. Słowacki, jak zwykle, raczej następstwem muzykalnym niż kamienną postawowatością, a wśród tych poetyckich akordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, tak zarzynające duszę, że musisz rad nierad po każdej łzie wylanej krzyknąć: „Wielki poeta!”

Potęga Słowackiego najbardziej w stylu zawarta. Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki – nim, jak przędzą, i z niego, jak z materiału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań panująca i przemagająca w Słowackim w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego to on sam, to ducha jego kierunek, roztopianie się nieustannie na wszystkie strony i ku wszystkim stronom. Stylem tym bije ciągle jakby falami o granicę wszechrzeczy, ciągle je podmywa i stara się odsunąć. Nikt tak smukle, gibko, fantastycznie po polsku nie pisał. Pokora, z którą wiersz mu niewolnikiem, przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo; na króla nam wygląda, kiedy zacznie mowie polskiej rozkazować. Biegną ku niemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce – każe im płynąć, a płyną, więc się powoli, a pełzną, wzlecieć, a wzlatują i lecą jak orły. Co krzyków dzikich i niewinnych śmiechów, co łez kapiących i śpiewów radości, co grzmotów rozłożystych i nikłych szmerów tam, w każdej chwili, rodzi się – przemija, umiera; aż prosi się język o folgi nieco, ale na próżno – mistrz go ujął i nie puści – musi się on pod jego twórczym tchnieniem rozrabiać i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać od prozy, nad którą poetyczniejszej w żadnym języku nie znamy, aż do wiersza krótkiego, doraźnego, co jak nóż ostry pada i utyka w sercu. Wszystkie możliwe dysonanse on przeprowadzi i rozwiąże – nic mu pod tym względem niedostępnego, nic, przed czym by myślał się cofać – i w tym nigdy nie znać ni pracy, ni wymusu. To natura jego przedziwnie giętka, co wewnątrz ciągłym rozruszona drganiem, na zewnątrz snuje się przegubami. W czarnoksiężstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym rzadko kto.

O ileśmy sobie zamierzyli, oceniliśmy dodatnim sposobem dążność i formę tego przecudnego, choć nie we wszystkim, pisarza. Gdyby kto tę dodatnią krytykę naszą zlał w harmonię z mnóstwem ujemnych, pisanych lub wyrzeczonych o nim, może by z tego wzajemnego przepojenia prawdę całą wyprowadził. Zarzucają zwykle Słowackiemu brak całości – mówią, że ducha swego nie ścisła

dość w karby, że mu żelaznych, rozpoznalnych dość granic nie stawia. Ależ właśnie to wypada z tego, czym on jest, ze specyficznej jego natury, która odbija jedną z stron wszechświata – nie rzeźbiarzem, ale muzykiem się urodził; a w tej jego muzyce, niesione nutami Betowena, płyną farby Correggia, farby Rafaela. Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie? Czemuż go wyglądacie? Wy, wśród których on już się objawił – nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem, odwróćcie się ku dniom, co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam. Jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię *Pan Tadeusz*, imię drobne i marne samo z siebie, ale wyrażające dla nas prawdziwą epopeę – na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niej stopiły się razem. Nie żądajcie zatem, by to, co się już stało, dopiero teraz zaczęło się stawać. Słowacki nie mógł być tym, czym nie jest, tym, co się przed nim odbyło. W logicznym rozwinięciu się sztuki polskiej on jest drugim momentem, a zatem różnym od pierwszego. Idea tylko żywa i mająca dalej się rozwijać zawiera w wnętrzu swoim różnaitość i tę objawia zewnętrznie form różnicą. Niechże więc z przypatrowania się i uznawania tej różnaitości spadnie wam do serca pociecha – ona jest znakiem, że pęd jakiś konieczny niesie was naprzód; ona jest objawieniem tej prawdy, żeście nie martwe ciała, ale żyjące duchy, i że idąc po smętnej drodze świata, w lepszą zasuwasie się przyszłość.

Uwagi wydawcy

Atg nie zachował się. Część rozprawy powstała zapewne już ok. września lub października 1840 roku. Ostateczny kształt poeta nadał jej prawdopodobnie przed połową marca 1841 roku. Pdr sygnowany asteronimem: TL 1841, nr 21, s. 175–176, nr 22, s. 180–182 i nr 23, s. 191–192. Tekst podano według pdr.

Objaśnienia

s. 9

w. 21–22 *kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku* – Zygmunt Krasiński nawiązuje do wypowiedzi krytycznoliterackich o Juliuszu Słowackim (1809–1849), jakie ukazywały się w prasie krajowej i emigracyjnej na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych – pióra m.in. Stanisława Ropelewskiego (1813–1865) (recenzja *Trzech poematów* i *Poematu Piasta Dantyszka*, „Młoda Polska” 1839, z 21 marca; recenzja *Balladyny*, „Młoda Polska” 1839, z 10 października; artykuł o twórczości Słowackiego w znanym Krasińskiemu „Kalendarzu Pielgrzymstwa Polskiego” z 1840 roku) czy Jana Nepomucena Sadowskiego (1814–1897) (artykuł o *Anhellim*, „Tygodnik Literacki” 1839, z 1 i 8 kwietnia). „Na żaden sposób nie mogą uznać za prawdę i słusność niesprawiedliwości wyrażanej przez publiczność Juliuszo-

- wi. Zapytam się, w czym go nie rozumieją?” – tak zaczynał Krasiński list do Romana Załuskiego z ok. 18 maja 1840 roku. Zob. LRA, t. 1, s. 339.
- s. 10
- w. 1–2 *postanowiliśmy na przekór im, a na pociechę nam samym, trzymać się dodatnie- go kierunku* – pod koniec listu do Załuskiego z ok. 18 maja 1840 roku Krasiński tłumaczy: „Gdyby publiczność była Juliusza wyniosła pod obłoki, byłbym, krytykę pisząc, wspomniał o tym, co w nim jest słabością, usterkiem, niedokoń- czeniem, disharmonią. Ale to wam zostawiam, którzy na to otwarte oczy trzy- macie. Wy to jemu powiecie, powtórzycie. Zresztą on o tym sam wie, inaczej nie byłby wielkim poetą”. Zob. LRA, t. 1, s. 344.
- w. 17 *„fiat lux”* – określenie z biblijnej Księgi Genesis: „Wtedy Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!«. I stała się światłość” (łac. „Dixitque Deus fiat lux et facta est lux”). Zob. Rdz 1,3. Krasiński używa tego sformułowania także w liście do Sło- wackiego z 10 kwietnia 1841 roku. Pisze tam o „chwili *Fiat Lux*”, o początku świata (zob. LRA, t. 1, s. 458), jak również w liście do Romana Załuskiego: „Mic- kiewicz na zawsze zwać się będzie stwórcą – on zastał chaos, on rzekł w na- szej literaturze: »Światło, stań się«” (zob. LRA, t. 1, s. 341).
„ab origine rerum” – łac., od początku rzeczy
- w. 19 *widno* – daw., wiadomo
- w. 20–21 *chronika* – daw., kronika
- w. 24 *dorażony* – doraźny, wynikający z bieżących potrzeb
- w. 26 *dziwa róża* – daw., dzika róża
- w. 29–30 *ból nie jest ostatecznym końcem i że z bólu zmartwychwstaje duch* – zob. wypo- wiedź Krasińskiego z listu do Słowackiego z 19 grudnia 1840 roku: „Dopiero tam prawdziwa i wyniosła tragiczność, gdzie jest cel męce – gdzie życie pokoleń ludzkich pojęte jako męka po szekspirowsku, ale jako męka serio, nie *buffo*, męka wznosząca się coraz wyżej ku Bogu, męka rozwijająca wszystkie siły natury ludzkiej na to, by kiedyś ustała i przeszła w błękit pogody, w pogodzenie i po- jednanie ziemi – tej trumny, z niebem – tą kopułą świątyni! Śmierć i ból jest momentem tragicznym, ale o tyle tylko, o ile już w sobie ma zaród zmartwych- wstania – bo życie tylko jest poezją, śmierć zaś zupełna, absolutna jest niczym, jest głupstwem, jest nieduchowną rzeczą, jest oderwanym pojęciem, nie po- etycznym, ale metafizycznym!”. Zob. LRA, t. 1, s. 453.
- w. 32–33 *z odmětu rozbująłych fluktów, mówiąc Krasickiego mową* – jest to parafraza słów z *Monachomachii* (1778) Ignacego Krasickiego (1735–1801). W pieśni czwartej po- ematu autor przedstawił dysputę u dominikanów, która rozpoczyna się od prze- mówienia obrońcy (*defendensa*). Zwraca się on do *vicesgerenta*, przewodniczą- cego dysputy, a dla pochwały mecenasa kreśli obraz statku wznoszącego się na falach: „Na płytkim gruncie rozbująłych fluktów / Korab mądrości chwieje się i wznosi, / A pefen szczepu wybornego fruktów / Niewysławioną korzyść kiedy nosi, / Twoich, przeczacny mężu, akweduktów / Żąda, i pewien, że względy upro- si, / / Płynie pod wielkim hasłem głosząc światu, / Żeś ty jest perłą konchy Pe- rypatu”. Zob. I. Krasicki, *Monachomachia i Antymonachomachia*, wstęp, oprac. Z. Goliński, Wrocław 1977, s. 38–39, w. 41–48.
- w. 35 *wnętrzny* – daw., wewnętrzny

s. 11

- w. 1 *tytan* – olbrzym; w mitologii greckiej tytani byli potomkami Uranosa i Gai
- w. 3 *sforny* – daw., uporządkowany, zdyscyplinowany
- w. 4–5 *tego planety* – wyraz „planeta” jest tu rzeczownikiem rodzaju męskiego
- w. 21 *z republikańską ironią* – prawdopodobnie jest to aluzja do wydarzeń Wielkiej Rewolucji Francuskiej i niszczącej siły republikańskiej przeciwstawiającej się łądowi monarchii. Możliwe również, że Krasiński odnosi się do ostatnich lat istnienia Republiki Rzymskiej i jej upadku.
- w. 22 „*moriturus*” – łac., mający umrzeć, śmiertelny. Zob. też list Krasińskiego do Słowackiego z 23 lutego 1840 roku: „[...] zatem prawdę mówię Ci szczerze, gdybym Cię liczył do *morituros*, równie szczerze bym milczał, milczenie jest albowiem mową grobów”. Zob. LRA, t. 1, s. 443–444.
- w. 36 *panteizm* – pogląd filozoficzny uznający istnienie Boga w naturze i wszystkich rzeczach ziemskich

s. 12

- w. 10 *mnóstwo* – daw., tłum, gawiedź
- w. 15 *iścizna* – daw., istota, niezbywalna własność
- w. 22–23 *Stąd podobieństwo do tego, co Niemcy, przejąwszy od Anglików, przewali humorem* – Krasiński charakteryzuje w tym ustępie zjawisko ironii romantycznej, opisane w pismach m.in. Friedricha Schlegla (1772–1829), Augusta Wilhelma Schlegla (1767–1845), Novalisa (1772–1801) czy Jean-Paula Richtera (1763–1825). List Krasińskiego do Henryka Reeve’a z 5 listopada 1836 roku przynosi porównanie twórczości angielskiej i niemieckiej, podporządkowane zasadniczej tezie o dwóch siłach – dośrodkowej i odśrodkowej. Zob. LHR, t. 2, s. 248–249. Z kolei o „humorze” w twórczości Williama Shakespeare’a (1564–1616) Krasiński pisał do Słowackiego 19 grudnia 1840 roku: „Sens jego [Szekspira] moralny ogólny taki: »Ty płaczesz, tobie serce pęka, ty krzyczysz: ja nieszczęśliwy! Spójrz, proszę Cię – alboż to ty jeden – patrz no! i tam łzy płyną, i owdzie, serca pękają i wszędzie, i zawsze. Taki życia tryb – od kolebki urodzenia do trumny zapomnienia wszyscy się zżymają i płaczą, i cierpią – pomyśl no, czy to nie wielka bufonada tak rodzić się nie wiedzieć skąd, tak żyć nie wiedzieć czemu i tak sobie odchodzić nie wiedzieć gdzie? Ja bym ci radził wszystko to za żart jeden przykry uważać, a kiedy żartują z ciebie, nie wiem kto, czy los, czy Bóg, czy diabeł, czy traf, ej! wierz mi, i ty zażartuj z nich, kpiną płac kpinę, bądź aktorem komicznym, ty dotąd tragiczny aktorze na teatrze świata!«. Zob. LRA, t. 1, s. 452–453.
- w. 26 „*buffo*” – wł., komiczny, śmieszny
- w. 27 *czytając „Szwajcarię”* – uwagi na temat poematu *W Szwajcarii* (1839) Krasiński wyrażał pełniej w liście do Romana Załuskiego z ok. 18 maja 1840 roku. Dzieło to „jest tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o miłości marzonej nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świętych wiszni nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsnym jest, że czytając, zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: »Niech go diabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać! Trzeba bezczelnym być, by brać

- się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juliusza!«. I to instynkt był mój, wrażenie na mnie wywarłe, nie żadno rozumowanie”. Zob. LRA, t. 1, s. 339.
- czytając [...] „Anhellego”* – w liście do Romana Załuskiego z ok. 18 maja 1840 roku Krasiński pisze o *Anhellim* (1838): „Zaprawdę, trzeba potęgi urocznej, genialnej, nadzwyczajnej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem – tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się jakby Eden melancholijny. Wiesz, że mówię, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepta do ucha i ludzi, i nęci, i porywa. Otóż piekło Sybiru, nie przestając być piekłem, przybrało w *Anhellim* taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną razem. Tak samo w splotach węża jest lubieżność jakaś, pociąg niepojęty, magnetyczność porywająca ptaszki. Jul w takiego węża przemienił Sybir i lgnąc doń kazał duszom czytelników”. Zob. LRA, t. 1, s. 339–340.
- w. 38–39 *przecież i Dantowi bardziej doma było w piekle niż w niebieskich podniosłościach!* – mowa o częściach *Boskiej komedii* (1308–1321) Dantego Alighieri (1265–1321). *Piekło* jest często uważane za część bardziej udaną artystycznie od *Czyśćca* i *Raju*.
- s. 13
- w. 1–2 *widnokres* – daw., widnokrąg
- w. 3–4 *„Balladynę” ujemnie tylko obarczyły krytyki* – najgłośniejszą z nich jest złośliwa recenzja Stanisława Ropelewskiego wydrukowana w „Młodej Polsce” 10 października 1839 roku
- w. 10 *za dni Popiela* – tj. „za czasów bajecznych, koło jeziora Gopła”, gdzie toczy się akcja *Balladyny* i *Lilli Wenedy*. W następnym zdaniu aluzja do króla Popiela, legendarnego władcy Goplan, który – według *Kroniki* Wincentego Kadłubka (1161–1223) – został zjedzony przez myszy.
- w. 11 *miasto* – daw., zamiast
- w. 13 *Homer* (VIII p.n.e.) – śpiewak wędrowny uważany za twórcę eposów – *Iliady* i *Odysei*
- w. 14 *tak jak Nibelungów śpiew Germanii początek* – chodzi o *Pieśń o Nibelungach* (*Nibelungenlied*), staroniemiecki poemat heroiczny z XII wieku, zebrany z pieśni ludowych. Osnową historyczną dzieła jest zwycięstwo Hunów pod wodzą Attyli (406–453 n.e.) nad Burgundami w 436 roku n.e.
- „Divina Comedia”* – oryginalny tytuł *Boskiej komedii* Dantego
- w. 21 *można* – daw., obfita, dostatnia
- w. 27 *Achilles* – heros z mitologii greckiej, bohater wojny trojańskiej, syn Peleusa i Tetidy. Pokonał w walce najdzielniejszego z obrońców Troi, Hektora. Zginął od strzały Parysa, ugodzony w jedyny słaby punkt swego ciała – w piętę.
- w. 27–28 *Sygfryd* – Zygryfryd, jeden z głównych bohaterów *Pieśni o Nibelungach*. Jego losy są podobne do dziejów Achillesowych; słabym punktem Zygryfryda było miejsce między łopatkami, które nie uodporniło się na ciosy mimo kąpieli w smoczej krwi.
- w. 28–29 *duch skandynawskiej Eddy* – *Edda Poetycka* (*Edda Saemunda*, *Edda Starsza*) to zbiór pieśni staroislandzkich z IX wieku, składający się z *Pieśni o bogach* i *Pieśni o bohaterach*, i bogate źródło wiedzy o mitologii nordyckiej oraz wędrownkach ludów z pierwszych wieków naszej ery

- w. 39 *gnomy* – w dawnych wierzeniach ludowych duchy podziemne, uosobienie żywiołowych sił ziemi
- w. 40 *groteski* – tu: dziwne stworzenia
- s. 14
- w. 6–7 *czasów pierwiastkowych* – daw., czasów pierwotnych, najdawniejszych
- w. 10 *kał* – daw., błoto, brud, szlam
- w. 12 „*consummatum est*” – łac., stało się, dokonano się. Ostatnie słowa Jezusa Chrystusa konającego na krzyżu: „A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: »Dokonano się!«. I skłoniwszy głowę, oddał ducha”. Zob. J 19,30.
- w. 13 *migi i przemigi* – daw., migotliwe blaski
- w. 24 *znikomy* – tu: pozornie niewiele znaczący
- w. 25 „*Czemu nie było mnie tam...*” – w początkowej scenie pierwszego aktu Kirkor mówi do Pustelnika: „Czemuż nie było mnie tam na Golgocie, / Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą! / Zbawiłbym Zbawcę – lub wyrąbał krocie / Zbójców na zemstę umarłemu”. Zob. J. Słowacki, *Balladyna*, oprac. M. Ingot, Wrocław 1984, s. 17, w. 134–137.
- w. 29–30 „*nade wszystko chce się babie carować*” – niedokładny cytat z *Początku i progresu wojny moskiewskiej* Stanisława Żółkiewskiego (1547–1620) (pierwszy druk w 1833 roku): „Przysiągł i pan wojewoda sandomirski, że się nie miał więcej z tym szalbierzem w żadną sprawę wdawać. I tak jechali w drogę, którą jadąc, mogli być bezpieczni od wojska tego drugiego szalbierza; ale pan wojewoda sandomirski, nie dbając ani na przysięgę, którą świeżo uczynił, a tym więcej córka jego, której się bardzo chciało carować, nie kontentując się tym, iż od wielu ludzi wiary godnych była wiadomość, że ten nie jest pierwszy szalbierz, i owszem niczym do tamtego niepodobny, nie chcieli jechać tą drogą, którą Szujski kazał prowadzić, bawili się po drodze, a potajemnie dali znać do wojska szalbierzowego, gdzieby ich miało przejmować”. Zob. S. Żółkiewski, *Początek i progres wojny moskiewskiej*, z wstępem i komentarzem W. Sobieskiego, Kraków 1920, s. 32.
- s. 15
- w. 1 *uśmiechu, jak sam Słowacki się wyraża, Ariostowskiego* – Ludovico Giovanni Ariosto (1474–1533), autor eposu rycerskiego *Orland szalony* (wyd. 1516). Słowacki pisał w liście dedykacyjnym poprzedzającym *Balladynę*: „Kochany Irydionie! ta powiastka o falach i harfiarzu zastąpi wszelką do *Balladyny* przemowę. Wychodzi na świat *Balladyna* z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczepione”. Zob. J. Słowacki, *Balladyna*, oprac. M. Ingot, Wrocław 1984, s. 3. W liście do Romana Załuskiego Krasieński odnosił się do tych słów, jednocześnie wykładając swe poglądy na temat epopei: „Jest to najpiękniejszy *midsummer-night's-dream*, najprześliczniejsza epopea, ale nie Homeryczna jak *Pan Tadeusz*, tylko Ariostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony, fantasmagoria kapryśna, swawolna, a zawsze i ciągle przeciągająca, wijąca się w górę jak Goplana, by się roztopić i zniknąć, aż ci, co patrzyli, a teraz już nie widzą nic, tęsknić muszą na zawsze!”. Zob. LRA, t. 1, s. 342.
- w. 13 *folga* – daw., ulga, odpoczynek

- w. 14 *W „Lilli Wenedzie” chciał nam stworzyć poeta Antygonę sławiańską* – Antyгона, królowna tebańska z mitologii greckiej, tytułowa bohaterka tragedii Sofoklesa (498–406 p.n.e.). Sprzeciwiła się rozkazowi króla tebańskiego Kreona i urządziła pogrzeb swego brata Polinejesa, uznanego za zdrajcę.
- w. 19–21 *do owych olbrzymów ducha, co w pierwszych wiekach Kościoła tak samo po bo-
rach Germanii i Sławiańszczyzny rwali się za pasy z wiarami dzikich plemion* – mowa o działalności chrystianizacyjnej pierwszych misjonarzy
- w. 28 *Kastor i Pollux* – właśc. Kastor i Polluks, bliźniacy, synowie Zeusa i Ledy, dzielni wojownicy, przyjaciele ludzkości, czczeni jako bóstwa. Krasiński nawiązuje do *Kroniki* Jana Długosza (1415–1480), który za słowiańskich odpowiedników Kastora i Polluksa uznał Lela i Polela.
- s. 16
- w. 1–2 *najściślej obrąbiony jest „Ojciec zadżumionych”* – poemat Słowackiego został opublikowany w 1839 roku
- w. 3 *rysy Laokona* – właśc. Grupa Laokoona, słynna starożytna rzeźba z ok. połowy II wieku p.n.e. przedstawiająca legendarnego kapłana Apollina i jego dwóch synów uduszonych przez węże morskie
- w. 4–5 *przed Ugolinem pożerającym czaszkę arcybiskupa w piekle* – w trzydziestej trzeciej pieśni *Boskiej komedii* hrabia Ugolino opowiada przerażającą historię o swych zmarłych z głodu dzieciach. Arcybiskup Pizy Ruggieri wywołał powstanie przeciw Ugolinowi, skazał tyrana i jego dzieci na zamknięcie w lochu i śmierć głodową. Hrabia dokonuje zemsty na oprawcy, gryząc jego czaszkę: „Skończył i białka wyrzucił straszliwe, / I zęby w czerep znów zapuścił siny, / Twarde i jak psie – krwawej kości chciwe”. Zob. D. Alighieri, *Boska komedia*, tłum. E. Porębowicz, Warszawa 1990, s. 168, w. 76–78.
- w. 6 *u tokańskiego Gibellina* – właśc. Gibelin, przydomek Dantego. Nazwa pochodzi od istniejącego w XII–XV wieku włoskiego stronnictwa politycznego gibelinów, skupiającego zwolenników władzy cesarskiej.
- w. 6–7 *w niczym nie zapożyczył się polski poeta* – Krasiński odpowiada tu na zarzuty krytyki wobec *Ojca zadżumionych*. Stanisław Ropelewski w recenzji *Trzech poematów* i *Poematu Piasta Dantyszka* zarzucił Słowackiemu naśladownictwo, przytaczając właśnie początek trzydziestej trzeciej pieśni dzieła Dantego: „Pierwszy poemat *Ojciec zadżumionych* w *El-Arish* (El-Arisz) jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu, jest to przerysowanie owego znowu ustępu, który Słowacki na pamięć umie: »La bocca sollevo dal fiero pasto / El peccator etc., etc.«”. Zob. *Sądy współczesnych o twórczości Juliusza Słowackiego (1826–1862)*, zebra., oprac. B. Zakrzewski, K. Pecold, A. Ciemnoczołowski, Wrocław 1963, s. 67.
- w. 8–9 *postawowatość* – tu: postawa
- w. 32 *wymus* – daw., przymus, zmuszanie
- w. 33 *przeguby* – daw., skręty
- w. 39–40 *Zarzucają zwykle Słowackiemu brak całości* – jest to jeden z głównych zarzutów np. w recenzji *Mazepy* pióra Karola Libelta (1807–1875), która ukazała się na łamach „Tygodnika Literackiego” 30 marca 1840 roku

s. 17

w. 4 *niesione nutami Betowena* – właśc. Ludwig van Beethoven (1770–1827), kompozytor niemiecki, jeden z trzech twórców zaliczanych do grupy tzw. klasyków wiedeńskich. Autor m.in. symfonii, mszy, koncertów fortepianowych, sonat, utworów kameralnych.

farby Correggia – właśc. Antonio Allegri (Correggio) (1494–1534), malarz, przedstawiciel włoskiego renesansu, autor fresków i obrazów religijnych

farby Rafaela – Rafael Santi (1483–1520), włoski rzeźbiarz i architekt, jeden z najwybitniejszych artystów renesansu, twórca m.in. fresków zdobiących apartamenty w Watykanie

w. 5 *Michał Anioł* – właśc. Michelangelo di Ludovico Buonarroti Simoni (1475–1564), włoski rzeźbiarz, architekt, poeta i malarz, twórca m.in. *Piety*, fresków w watykańskiej Kaplicy Sykstyńskiej czy *Sądu Ostatecznego* zdobiącego jej ścianę

w. 6 *wazierać* – daw., zaglądać, patrzeć w głąb

w. 8 *na posągu Litawora* – bohater poematu *Grażyna. Powieść litewska* (1823) Adama Mickiewicza (1798–1855). Zawarł przymierze z Krzyżakami przeciwko księciu Witoldowi (1354/1355–1430), by odzyskać należące do niego ziemie. Pod postacią czarnego rycerza pomógł Litwinom zwyciężyć w bitwie z mszczącymi się za podejrzewaną zdradę Krzyżakami. Zginął w płomieniach, rzucił się w nie z rozpaczą za żoną Grażyną, która – przebrana w zbroję księcia – poległa w owym boju.

w. 13 *Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niej stopiły się razem* – właśc. Miguel de Cervantes Saavedra (1547–1616), pisarz hiszpański, autor *Don Kichota* (cz. 1 – wyd. 1605, cz. 2 – wyd. 1615). Krasiński zestawiał *Pana Tadeusza* (1834) z *Iliadą* i *Don Kichotem* także w dopisku listu do Załuskiego: „Im bardziej zapatruję się na literaturę polską, tym bardziej się przekonuję, że w równi się trzyma co do poezji z resztą Europy. Żaden europejski lud dziś nie ma takiej epopei jak *Pan Tadeusz*. Odczytałem go niedawno. *Don Kiszot* tam się złął z *Iliadą*. Poeta stał na przesmyku między znikającym tym pokoleniem ludzi a między nami; nim umarli, widział ich, a teraz ich już nie ma. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne. Dokonał tego Adam po mistrzowsku. To plemię umarłe uwiecznił, ono już nie zaginie. Temu lat 6, czytając *Pana Tadeusza*, nie pojmowałem całej jego wielkości, dziś biję czołem i mówię; to jest epopea. Więcej powiedzieć ni można, ni potrzeba”. Zob. LRA, t. 1, s. 344.

dowcip – daw., rozum, inteligencja

